

gospodarza domu i wyszywała coś na pluszowej tkaninie. Ojciec Andrzej na chwilę wyszedł, powierając chorego pieczy swej chrześniczki.

Rozkoszne to było dziewczę. Twarz biała z rumieńcami na policzkach, oczy ogromne, błękitne, a włosy jasno-łłowe. Seledynowa wełnianka okrywała cudne, spadziste ramiona i wiernie oddawała wdzięczne dziewczęce kształty.

Siedziała na niskim stołeczku, tuż przy głowie chorego. Na kolanach jej leżało mnóstwo różnokolorowych włóczek, z których ona co chwilę odpowiednią wybierała, nawlekała na grubą igłę i coś z zajęciem wyszywała.

Od czasu do czasu, spoglądała na twarz chorego, aby z twarzy jego wyczytać, czy bardzo jeszcze cierpi, czy czego nie pragnie.

Gdy na jego twarzy ukazał się wyraz bólu, a z piersi dobywał się jęk, to i jej twarz powlekła się wyrazem bolesnego smutku. Wtedy podnosiła się z krzesła i pochylona nad nim z płaczem pieściotliwie szeptała:

— Jędrusiu! Jędrusiu — tak od dzieciństwa nazywała swego towarzysza zabaw dziecięcych i z powrotem siadała na swym krzesłku.

Na polu był śliczny ranek. Słońce już dość wysoko świeciło pełnym blaskiem, na jaki je stać w zimie. Kilka promieni słonecznych wpadało przez okno i blaskiem swym oświeciło siedzącą.

W tem świetle igrających promieni jej włosy mieniły się, jak złote.

W tej chwili chory otworzył oczy i wzrok jego padł na Jankę. Usta przybladłe krasit mu uśmiech, oczy zabłyszczały szczęściem. Wargi chorego poruszyły się bezwiednie i wymówiły cichutko:

— Janka...

Siedząca oblała się szkarłatnym rumieńcem, a gdy z niej wzroku nie spuszczał, zawstydzona swym strojem, starała się zakryć swą głęboko odkrytą szyję wyszywaną materią.

Z kolei spojrzał na broń, której użyła i spostrzegłszy krzyż wyhaftowany, zapytał:

— Co to? — i wzrokiem wskazał na haft.

— To za waćpana zdrowie do kościoła ofiara — odrzekła i jeszcze się mocniej zarumieniała, a lzy zakręciły się w jej oczach.

Andrzej wyciągnął z pod kołdry swą wychudłą rękę i ujawszy jej dłoń, przyłożył do swych rozpalonych ust.

— Janko... dziękuję — zdołał wyszeptać i z powrotem popadł w bezsilność.

Cyrułik, odwiedzający Andrzeja codzień, zapowiedział, że chory za jedną niedzielę będzie mógł wstać z łóżka.

Wprawdzie nie dosłownie za jedną niedzielę, lecz za kilkanaście dni Andrzej tak przyszedł do sił, że mógł chodzić bez uszczerbku na zdrowiu. Otulony ciepło, poczał nawet wychodzić na pole i cieszył się, jak dziecko, śniegiem i słońcem, najmniejszą nawet drobnostką. Z Janką spotykał się tylko przy obiedzie i kolacji, zresztą nie mógł jej nigdzie znaleźć, widocznie kryła się przed nim. Nie mógł tylko zrozumieć dlaczego? I żał a boleśń go gryzła, czy jej przypadkiem nie powiedział czego przykrego, ale nie śmiał jej w tej materii pytać w obecności rodziców.

Wreszcie rekonwalescent całkiem przyszedł do zdrowia, o tyle, że mógł odbyć podróż do domu. Po serdecznym pożegnaniu ze strony rodziców, zaproszeniach a podziękowaniach. Andrzej z ojcem wsiedli do sań i w konnym towarzystwie kilku pacholków ruszyli do Huciska.

Andrzej jeszcze raz smutnym wejrzeniem obrzucił ten dom, w którym przepędził kilka tygodni smutnych a rzewnych i w jednym z okien dworu ujrzał zapłakaną twarzyczkę Janki.

Gdy tylko zobaczyła, że jest widziana, gwałtownie skoczyła w głąb i skryła się w cieniu. Andrzejowi zrobiło się strasznie smutno, jakby stracił najpiękniejszą część życia.

III.

Nadszedł dzień wigilijny. Od samego rana w Hucisku wrzało. Wszystkich wcześniej niż zazwyczaj

pobudzono, robiono bowiem ostatnie przygotowania do wigilii i świąt. Oprócz tego, spodziewano się liczniejszego zjazdu sąsiedztwa, na pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia, z okazji ślubu córki pana Onufrego, Krystyny, z Józefem Suchorzeckim, obywatel z Lubelskiego.

Gdy pierwsza gwiazda na niebie zabłysła, cała rodzina zgromadziła się w obszernej jadalni. Zwyczajem staropolskim na stole w sianie leżała podobizna Zbawiciela a cały stół przybrany był zielenią.

Po odmówionej przez panią domu modlitwie, zaczęło się łamanie opłatkiem i składanie życzeń.

Po wieczery, Andrzej siedział obok ojca, który się nim pieściotliwie zajmował, a zagadywał o to i owo, a nawet w dowód łaskawości niezwykle, wszczął z nim rozmowę „de publicis“.

Było to dowodem, że go uważa już za dojrzałego obywatela, a nie za młodzika. Andrzej, był po trochu dumny z tego, że może w obecności ojca swoje zdanie wypowiedzieć.

Potrawy z roku na rok te same, spożywał Andrzej z apetytem. Więc zupa grzybowa na rybich

służby, a co też ksiądz pleban powie? Trzeba się będzie kłamstwem salwować, wstyd się przyznać do pijaństwa.

Tymczasem kończono przygotowania. Z jadalni, jako największego pokoju, wyniesiono wszystkie sprzęty, stoły zaś zastawiono w kilku pomniejszych pokojach. Oprócz tego urządzono pokoje dla pań i młodzieży, gdzieby na osobności spocząć.

Zaraz z południa zaczęli zjeżdżać goście. Andrzej, w najlepszym humorze, z bólem głowy po wczorajszym poczęstunku, wraz z ojciem witał przyjeżdżających gości.

Obaj ustrojoni byli w kontusze. Pan Onufry miał czarny kontusz z białymi wylotami i złoty pas słucki, syn zaś granatowy z wylotami błękitnego koloru. Andrzej z niecierpliwością wyczekiwał, rychło między przyjeżdżającymi ukaza się sanie Radziejewskich, a w nich jasna główka panny Janci.

I spełniło się pragnienie Andrzeja. Przed ganek zajechały sanie, w parę siwych zaprzężone, a w nich matka i córka.

Panna Janka wyglądała dziś ślicznie, w bielutkim żupaniku atłasowym, białym barankiem lamowanym i w takiegoż koloru kołpaczku.

Andrzej do sań poskoczył, panią matkę w rękę ucałował i z sań wysadził, a potem pannie Jance podał rękę.

Pan Onufry wyloty kontusza w tył odrzucił, wąsa pokręcił, a damom widać bardzo był rad, bo z zadowolenia się uśmiechając mówił:

— Witam! Witam panią sąsiadkę dobrodziejkę w mych niskich progach. Widać, że mi nieba i tak sprzyjające, kiedy mi takich gości zsyłają — to mówiąc, pani Radziejewskiej ramię podał i na pokoje wprowadził.

Andrzejowi gorąco się zrobiło, nie mógł ani słowa powiedzieć. Męczył się nad wymyśleniem jakiegoś grzecznego konceptu i nie mógł nic wymyśleć.

Ciekawym bardzo — rzekł wreszcie i nagle przerwał.

— Czego waćpan tak ciekawy?

— Czy też waćpanna choć raz od mego wyjazdu z Suchodol wspomniała moje imię.

— Na to pytanie trudno będzie odpowiedzieć, bo zresztą, pewnie, że nieraz wspominaliśmy o tej przygodzie nieszczęśliwej.

A żalby było pannie Jani, gdybym tak był tam zginął na drodze?...

— Ee! co to waćpan wygaduje. To grzech! a trzeba być na przyszłość ostrożnym, żeby nie robić innym przykrości.

— Ej, jabym się dał jeszcze raz wilkom poszarpać, żeby mi taki anioł, jak waćpanna, pielegnował...

— Vivat! — huknęło nagle, jak z stu spiżowych armat. Ktoś wznosił gospodarza zdrowie, powstał ogromny tumult. Wszyscy z kielichami w rękach cisnęli się do pana Onufrego.

Jakiś pospolity szlachcic chwycił Andrzeja za ramię, włożył mu do ręki szklanice pełną wina i zmusił do wypicia na zdrowie gospodarza domu. Potem, nie bacząc na jego opór, gwałtownie posadził przy stole, obsadzonym szlachta-sąsiadami. Gwano tu było a wesoło.

Szlachta podochociwszy sobie, bawiła się coraz to lepszymi dowcipami. Po kolei poczęli do Andrzeja przypijać, aż się biednemu prawnikowi gorąco robiło, a pot kroplami płynął z czoła. Nagle dano znak — zaczęła się uroczystość zaślubin. Wszystko ruszyło do jadalni. Ten i ów do dna wysącał w przyspieszonym tempie wypełnioną szklanice i z załem podnosił się z za stołu.

Pan Onufry młodą parę pobłogosławił, potem zaczął coś mówić, lecz mocno już mając w czubie, rozplakał się tylko serdecznie i na tem swą mowę, dawno już przygotowaną, skończył.

Cały orszak runął teraz przed dwór. Sanie za saniami zajeżdżały — olbrzymi wąż sunął do Lignowiec na ślub.

(Dokończenie nastąpi).



Zmierzył, wypalił, ale chybił.

głowach przyprawiona, potem ryby smażone i w galarecie, wreszcie historyczne kluski z makiem. Andrzej zyskał na wesołości, zdrowie mu bowiem dopisywało.

Dzisiaj na pasterce w Ligniowcach, spodziewał się zobaczyć z Janką, więc humoru a fantazyi nie brakło. Zagadywał też wesoło to siostrę, to którego z domowników, dowcipną anegdotkę opowiedział i wszyscy się śmiali do rozpuku.

Pan Onufry, popijając kielich za kielichem, coraz częściej przypijał do syna. W miarę jak w gąsiorkach wina ubywało, z czupryn dymiło się coraz bardziej. Niedługo, a ojciec i syn w pocałunkach a uściskach zaczęli płakać jak bobry, poczem, obaj tak mocno posnęli, że nie sposób było się ich dobudzić o północy. Zaniesiono ich przeto na posłania, gdzie dopiero rankiem się przebudzili.

Pan Onufry bardzo był z tego nierad, do nikogo się nie odzywał a groźnie brwi marszczył. Wstyd mu było, że zaniedbał obowiązku chrześcijanina i nie złożył hołdu Narodzonemu.

— Widział to kto? upić się jak nieboskie stworzenie — mrucał do siebie pan Onufry, przeglądając jeszcze raz przygotowania, poczynione na przyjęcie gości. — Piękny przykład dla Andrzeja, dla